

Do potęgi klucz

4 stycznia 2010

ILONA MAJEWSKA: Od lat trwa festiwal narzekań, że programy nauczania są przeładowane i że zamiast uczyć „wszystkiego”, należy kształcić bardziej „pragmatycznie”. Ten kierunek myślenia propagują także kolejne ekipy rządzące.

SŁAWOMIR BRONIARZ: Punktem wyjścia do dyskusji powinna być podstawa programowa. To ona jest dla nauczycieli bazą do wyboru treści, które zamierzają realizować w czasie cyklu nauczania swoich przedmiotów – w ciągu roku, dwóch, trzech lat. Podstawa jest tak skrojona, że daje nauczycielowi dużą swobodę. Z drugiej strony, rzeczywiście dostrzegam potrzebę przekazywania nie tylko wiedzy teoretycznej, ale i praktycznych umiejętności. Z tym jest u naszych uczniów trochę gorzej, być może dlatego, że przez wiele lat nie to było istotą nauczania. Szczególnie mocno należałoby się jednak zastanowić nad tym, czy podstawa programowa nie jest konstruowana ściśle „pod egzamin”. Jeżeli tak jest, a wielu z nas – nauczycieli, rodziców – tak twierdzi, to moim zdaniem jest to niepotrzebne okrawanie programu z wiedzy, którą uczniowie powinni posiadać, na rzecz umiejętności, których jedyną istotną funkcją jest umożliwienie zdania egzaminu na jak najlepszą ocenę. Trzeba zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście egzamin powinien być tu priorytetem i jedynym wskaźnikiem naszych działań, czy też zdobyta przez ucznia wiedza i umiejętności, same w sobie, powinny być kwestią nadrzędną. Reasumując: uważam, że nauczyciele, posiadając podstawę programową, mają pełną możliwość, ale i obowiązek przekazu zarówno wiedzy, jak i umiejętności jej wykorzystania. Byłoby błędem, gdybyśmy dokonywali okrojania treści merytorycznych, które chcielibyśmy uczniom przekazać, tylko dlatego, że na egzaminie nie będą one wymagane. Jednocześnie należy dbać o pewną korelację treści teoretycznych i praktycznych. Bo co z tego, że dziecko wie na przykład, jaki

jest wzór na pole kwadratu, jeśli nie umie tej wiedzy zastosować w życiu codziennym? Umiejętne pogodzenie wymogów teoretycznych, które stawiamy dziecku w kontekście egzaminu, z użytkowaniem tej wiedzy, np. na rynku pracy, to jednak wyzwanie bardzo trudne.

– Tegoroczny, wyjątkowo prosty egzamin z języka polskiego, prowokuje do dyskusji na temat poziomu nauczania przedmiotów humanistycznych. Jednym z działań zmierzających do ich redukcji, na rzecz nabywania umiejętności przydatnych na rynku pracy, jest ograniczanie kanonu lektur szkolnych, z którego zniknąć miałyby klasyka, np. Żeromski.

– Jestem zwolennikiem jak najszerszego kanonu lektur, przy czym wybór zostawiłbym nauczycielowi. Oczywiście pamiętajmy, że rok szkolny to 36 tygodni, który to czas stanowi dla nas spore wyzwanie. Musimy zdążyć z realizacją treści programowych, tak abyśmy nie tylko – mówiąc kolokwialnie – „przerabiali lektury”, ale i zastanawiali się nad ich wymową, treścią i istotą. Po drugie, wydaje się, że sposób egzaminowania, który został określony w ostatnich kilku latach, jeśli chodzi o maturę zmierza do tego, żebyśmy ten egzamin maksymalnie zestandaryzowali, aby był jednakowy dla wszystkich, bez względu na to, kto będzie go sprawdzał. Ten sam klucz odpowiedzi ma być punktem wyjścia dla nauczyciela i w Szczecinie, i w Ustrzykach. Nie ukrywam jednak, że jeśli chodzi o język polski, jestem zwolennikiem solidnego wypracowania, które pozwoli dziecku napisać nie tylko wszystko to, co wie na dany temat, ale także zachować poprawność formy wypowiedzi i konstrukcji, wynikające z oczekiwań związanych z konkretnym gatunkiem. Wypracowanie, rozprawka, esej rządzą się swoimi prawami i należałoby sprawdzić, czy uczeń potrafi sobie poradzić z konstrukcją danej formy. Jestem natomiast przeciwny aktualnej postaci ustnej matury z języka polskiego – prezentacjom przygotowywanym przez uczniów. Po pierwsze, rodzi ona patologie, o czym często Związek Nauczycielstwa Polskiego mówił, po drugie – jest okrojeniem treściowym, które nie służy

poprawie jakości nauczania. Wreszcie – nie motywuje samych uczniów do tego, żeby dawali od siebie coś więcej, niż jest zawarte w kluczu wymagań.

– Czy Pana zdaniem nowa matura i tryb przygotowywania do niej obniżyły poziom edukacji?

– Wydaje się, że tak – i nie jest to wina nauczycieli czy uczniów. Ktoś postanowił, wprowadzając nową maturę, że musi istnieć pewien standard, jednakowa dawka wiedzy, którą każde dziecko musi się wykazać, żeby mogło na te swoje 30, 40 czy 80% zaliczyć. Nie można tego zrobić w sytuacji, gdy nie ustanowimy jednolitego wzorca, owego sławetnego klucza. Jeżeli chcemy, żeby dziecko było oceniane przez dwóch różnych nauczycieli, nie mających ze sobą bezpośredniego kontaktu, to klucz jest jedyną metodą. Pytanie jednak, czy jest ona tym, czego oczekiwaliśmy? I czy w tym kierunku powinniśmy zmierzać? Pamiętajmy, że nauczyciel to osoba, która jest przygotowana do wykonywania swojego zawodu i posiada wykształcone umiejętności oceniania dziecka. Oczywiście powinien dążyć do postulowanego obiektywnego oceniania. W przedmiotach humanistycznych nauczyciel, mając prawo do oceny, powinien mieć jednak prawo do tego, żeby oprzeć ją także o to, co wynika z jego wiedzy o pracy dziecka.

– Od wielu już lat, szczególnie od czasu „czterech reform” rządu AWS, trwa ograniczanie liczby placówek oświatowych. Tłumaczy się je niżem demograficznym. Jednocześnie od dawna wiadomo – również z doświadczeń krajów Zachodu, w który polscy politycy są tak zapatrzeni – że efektywna edukacja wymaga klas mniej licznych niż obecnie, gdy liczą one nawet ok. 40 dzieci.

– Ten problem jest w Polsce roztrząsany od wielu lat; mówienie o nim mogłoby zająć całą naszą rozmowę. W ostatnich kilku latach ubyło z systemu edukacyjnego ok. 900 tys. uczniów, ale jednocześnie zniknęło kilka tysięcy szkół i przedszkoli. Likwidację placówek tłumaczyć można czynnikami demograficznymi oraz finansowymi, bardzo zresztą ściśle ze sobą powiązanymi –

dlatego, że finansowanie polskiej edukacji jest skalkulowane w przeliczeniu na „fizycznego” ucznia. W związku z tym, gdy brakuje dzieci, koszt jednostkowy kształcenia pozostałych uczniów staje się dużo wyższy. Czasem samorządy podejmują dramatyczną decyzję likwidacji szkoły, a dzieci przenoszą do innych placówek, co powoduje stłoczenie uczniów. Klasy 30-osobowe nie są wcale rzadkością, zwłaszcza w szkołach ponadgimnazjalnych. To dylemat, który stoi przed samorządami – brak dostatecznych środków finansowych często zmusza je do takich działań. Wiele z nich najzwyczajniej w świecie nie jest w stanie realizować wszystkich stawianych zadań przy użyciu przekazywanych im funduszy. Rodzi się pytanie, czy przy pogarszających się warunkach pracy dzieci i nauczycieli jesteśmy w stanie osiągnąć cele, które stawia się szkolnictwu? Stąd też, do ustawy o systemie edukacji i Karty Nauczyciela wpisano nowe regulacje dotyczące zreformowanego systemu szkolnego – zapis, że organ prowadzący ma obowiązek składania radzie gminy/powiatu sprawozdania z funkcjonowania szkół w danym regionie, o co zabiegał ZNP. Forsowaliśmy to rozwiązanie, aby pokazać, jak ściśle powiązane są ze sobą dwie kwestie: efekt finalny, jakim jest ta wartość wiedzy, którą dziecko uzyskuje między pierwszą a ostatnią klasą, oraz warunki pracy tegoż ucznia i jego nauczyciela. Nie jest tajemnicą, że lepsze rezultaty osiągają mało liczne szkoły czy klasy, gdzie mniej dzieci uczy się w jednym pomieszczeniu. Do tego powinniśmy dążyć. Miejmy świadomość, że samorządom zależy na tym, żeby móc się pochwalić swoimi szkołami, że robią dla poprawy warunków ich funkcjonowania bardzo dużo. Zdecydowana większość samorządów troszczy się o swoje szkoły. I trzeba wyraźnie zaznaczyć, że po roku 1996 obraz polskiej szkoły jako budynku, miejsca edukacji, uległ niebywałej poprawie. Takiego skoku nie odnotowaliśmy od akcji „Tysiąc szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego” – i jest to zasługa samorządów właśnie. Jednakże wiele z nich ma dylematy – kosztem czego dołożyć do remontu drogi czy innej inwestycji. Najłatwiejsze do zaoszczędzenia są wydatki na edukację, rodzi to jednak negatywne skutki, bo trudno o osiągnięcie rezultatów na miarę

naszych aspiracji – np. w zakresie nauczania języków obcych – w sytuacji, gdy mamy klasę czterdziestoosobową, albo kiedy nauczanie niektórych przedmiotów nie odbywa się tak, jak mówi rozporządzenie – z podziałem na mniejsze grupy. Nie ma wtedy możliwości bezpośredniego kontaktu, tymczasem nam zależy, żeby nauczyciel otrzymał możliwość pracy z każdym dzieckiem, a uczeń wychodząc z lekcji miał poczucie, że te 45 minut solidnie przepracował.

– W związku z likwidacją szkół publicznych, w wielu małych miejscowościach szkolnictwo niepaństwowe, nierzadko o odcieniu „eksperymentalnym”, stanowi jedyną szansę istnienia instytucji oświatowych.

– Polska oświata to głównie szkoły zarządzane przez samorządy terytorialne. Uzupełnieniem dla nich jest szkolnictwo niepubliczne, mające uprawnienia szkół publicznych. Jest to element, który działa, ale chodzi o możliwość pewnej weryfikacji jakości nauczania w tych szkołach, gdyż jak pokazał raport Najwyższej Izby Kontroli, jest z nią raczej słabo. Ewenementem było to, że w jednej ze szkół nie realizowano zajęć z fizyki, bo uczniowie tego przedmiotu nie lubili. Wydatki z budżetu państwa na szkoły niepubliczne nie są wcale małe. To, że one istnieją, jest urozmaicheniem kolorytu oferty edukacyjnej, ale zwracam uwagę, że odpowiedzialność za wychowanie młodego pokolenia spoczywa na państwie, a realizować ten obowiązek mają jednostki samorządu terytorialnego. Udało nam się ostatnimi czasy doprowadzić do wprowadzenia zapisu, że w jednostkach zajmujących się tzw. inną formą wychowania przedszkolnego, prowadzonych np. przez osoby fizyczne, obowiązkowo musi być zatrudniony nauczyciel z przygotowaniem pedagogicznym. Bo jeszcze nie tak dawno, w czasach poprzedniej ustawy, te alternatywne formy wychowania przedszkolnego mogły być prowadzone przez ludzi bez jakiegokolwiek przygotowania merytorycznego. Teraz w ustawie figuruje zapis, że taka placówka ma realizować pełną podstawę programową i mają to przeprowadzać osoby z kwalifikacjami.

– Powiedział Pan, że wiele samorządów, mimo najszczerzych chęci, nie jest w stanie realizować swoich zadań. Podpisałby się Pan pod uogólnieniem, że zasadniczą przyczyną problemów polskiego szkolnictwa są zbyt niskie nakłady? To dość popularne przeświadczenie.

– Rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana. Rzecz paradoksalna – ubyło niemal milion dzieci w wieku szkolnym, ale subwencja zwiększyła się o prawie jedną trzecią. Tak więc nakłady rosną, jednak gdy schodzimy na poziom konkretnej szkoły, samorząd niejednokrotnie mówi: niestety, nie podzielimy klasy na grupy, bo nas nie stać... Ostatnio obserwujemy narastanie zjawiska, które trudno w ogóle pojąć, mianowicie powstawania klas łączonych w nauczaniu wczesnoszkolnym, w klasach 4-6. W niektórych małych organizmach szkolnych dochodzi do tego, że uczniowie uczą się w takich klasach.

– To bardzo niepokojące w kontekście tego, że obecnie pewnikiem myślenia o państwie i jego długofalowej strategii jest przekonanie, że inwestowanie w system edukacji obywateli stanowi najlepszą inwestycję w dobrobyt kraju i społeczeństwa. Także u nas ten postulat jest chętnie podnoszony przez polityków.

– Mam wrażenie, że w sferze haseł Polska jest mistrzem świata. Hasło „inwestowania w edukację” trafia automatycznie do milionów rodziców; jest bardzo nośne, prospołeczne i prorozwojowe. Natomiast nie idą za tym dalsze kroki, o których już mówiliśmy. Nie tak dawno ZNP zgłosił inicjatywę obywatelską, której istotą było to, aby nauczycieli przedszkolnych opłacano z budżetu państwa. Pozwoliłoby to wspomóc uboższe gminy, które mają trudności z budową przedszkoli – zaoszczędzone środki można by wykorzystać na ten cel. Proszę pamiętać, że w Polsce dla 600 tys. dzieci nie ma miejsca w przedszkolu – to jest półtora rocznika! Jesteśmy na szarym końcu Europy. Wydawało się, że wspomagając gminy w rozwoju placówek przedszkolnych rozwiążemy ten problem, jednak

parlament nie podzielił naszych racji. Z bardzo prostej przyczyny: zdecydowanie większą „wartość dodaną” dla polityków ma np. zniesienie abonamentu radiowo-telewizyjnego dla emerytów i rencistów, aniżeli inwestowanie w przedszkola, bo przedszkolak będzie wyborcą za kilkanaście lat, a emeryt jest – tu i teraz.

– Innym aspektem realizacji hasła „inwestowania w edukację” są sprawy bytowe nauczycieli. Kwestia ta jest niezwykle złożona. Polscy pedagodzy zarabiają przeraźliwie mało w porównaniu ze swoimi zachodnimi kolegami. Z drugiej strony, istnieje dziś znaczne zróżnicowanie zarobków, uzależnione od zamożności gmin, które przejęły szkoły. Wreszcie, po trzecie, krytycy wskazują, że nauczyciele może nie zarabiają dużo, ale rekompensują im to liczne płatne okresy bez pracy, jak wakacje i ferie, a także niewielkie – formalnie – pensum.

– Problem zarobków nauczycieli jest problemem istotnym, i to z wielu powodów. Po pierwsze, stanowimy grupę ok. 600 tys. osób. Każde 10 zł „w górę” oznacza zatem potężny wydatek z budżetu. Z tych 30 mld zł, które przeznacza się każdego roku na edukację, około 90% stanowią płace. Warto się jednak zastanowić: czy te nakłady są wystarczające? Twierdzimy, że nie. Skoro płace mają ogromny udział w subwencji, a my jako środowisko mamy obiektywne powody do narzekania, oznacza to, że należałoby wydatki na edukację zwielokrotnić. Zwracam także uwagę, że dzisiaj istnieją prawne możliwości podnoszenia wynagrodzenia nauczycielom przez jednostki samorządu terytorialnego; nawet dyrektor szkoły, w oparciu o posiadane środki, może zmieniać uposażenie nauczycieli. Pytanie tylko – skąd brać te uwolnione środki. Niektóre gminy, niekoniecznie te najbogatsze, podnoszą uposażenie nauczycieli, bo wiedzą, że to jest inwestycja w dzieci. Dobrze opłacając nauczycieli, możemy wybierać najlepszych z grona tych, którzy aplikują, co rzutuje na poprawę jakości wiedzy przekazywanej uczniowi. Zdajmy sobie sprawę z tego, że bez bardzo wyraźnego zwiększenia środków na edukację nie przeskoczmy tego

problemu. Chcę przy okazji zwrócić uwagę, że dzięki działaniom ZNP zauważalnie podniesiono płace nauczycielom rozpoczynającym pracę. To nie jest jeszcze płaca na tyle konkurencyjna, żeby absolwent informatyki miał dylemat: iść do szkoły czy do sektora prywatnego, ale taka, która rozpoczynających pracę skłania do zastanowienia. Elementem, który dodatkowo zaciemnia obraz naszych wynagrodzeń, jest system ich kształtowania. Płaca nauczycielska składa się z pensji zasadniczej i kilku dodatków, które są czasem wirtualne. Proszę sobie wyobrazić płacę nauczyciela stażysty, do której doliczana jest odprawa emerytalna (a on do emerytury ma czterdzieści lat) czy dodatek funkcyjny (a który stażysta jest dyrektorem szkoły?). Nauczyciele słyszą w mediach, że dyplomowany zarabia 4008 zł, co wynika ze stopnia awansu zawodowego, a gdy idą do kasy, to odbierają 2100. To irytuje. Równocześnie powstają zbędne dyskusje: jak to się dzieje, że wy narzekacie, skoro płaca nauczyciela dyplomowanego wynosi 4 tys. zł? Nikt z osób postronnych nie wie, że te 4 tys. ma się nijak do właściwego wynagrodzenia zasadniczego.

– Jakie widzi Pan możliwości rozwiązania tego problemu?

– W tym roku uczyniono poważny krok naprzód i mam nadzieję, że kryzys nie zahamuje poprawy sytuacji materialnej nauczycieli, jednak nadal możemy powiedzieć, że jesteśmy grupą relatywnie słabo opłacaną. O ok. 6% naszego uposażenia decyduje samorząd – to są dodatki funkcyjne czy motywacyjne, więc samorządy mają ograniczoną rolę w tym zakresie. Przypomnę, że kilka lat temu ZNP przygotował i skutecznie przeprowadził przez proces legislacyjny ustawę – inicjatywę obywatelską, pod którą podpisało się około 600 tys. osób, wprowadzającą zasadę, że płaca nauczyciela ma być w całości finansowana z budżetu państwa. Żeby nie było tak, iż w sąsiadujących ze sobą gminach panują istotne rozbieżności. Bo nawet w poszczególnych dzielnicach Warszawy różnice w wysokości wspomnianych dodatków potrafiły dochodzić do 300 zł. Ustawę uchwalono, ale w praktyce nigdy nie funkcjonowała, gdyż na lata 2001-2005

przypadł dramatyczny kryzys finansów publicznych, który zaważył na jej realizacji. Mam nadzieję, że te działania, które podejmowane są od kilku miesięcy, będą realizacją hasła wyborczego – żeby polskie dzieci były uczone przez dobrze wynagradzanych nauczycieli. Że inwestowanie w edukację przestanie być wyłącznie sloganem.

– Na niedobór środków cierpi także szkolnictwo wyższe – jak widać, „inwestowanie w edukację” Polaków mających już prawa wyborcze również nie należy do priorytetów kolejnych rządów...

– Tak. Dramatem w Polsce jest bardzo niski poziom nakładów na szkolnictwo wyższe, badania, na rozwój tych nauk, które bez zasilenia z budżetu nie są w stanie konkurować w Europie. Słyszając wypowiedzi np. prof. Balcerowicza, że Polska nauka jest mało konkurencyjna w stosunku do zachodniej, muszę powiedzieć, że dzieje się tak, ponieważ na Zachodzie mamy potężny transfer środków na badania. Ośrodki badawcze są tam też często finansowane z sektora prywatnego, co w Polsce zasadniczo nie istnieje. Nasze instytuty naukowo-badawcze egzystują na tyle, na ile mogą, rozwijają się, ale bez zastrzyku gotówki z sektora prywatnego i budżetu nie uzyskamy cudów. Jeżeli potraktujemy edukację jako proces „od przedszkola po doktorat”, to okaże się, że Polska ma zbyt małe nakłady na tę, moim zdaniem najważniejszą dziedzinę życia. Najważniejszą również pod względem rentowności. Bo nie ulega wątpliwości, że inwestycje w naukę zwracają się wielokrotnie.

– Odnoszę wrażenie, że niedofinansowanie w większym stopniu dotyka obecnie nauki humanistyczne. Dlatego, że są mniej bezpośrednio powiązane z rozwojem gospodarczym?

– Rzeczywiście, zdecydowanie większy nacisk kładzie się na nauki stosowane, ale nie można sprowadzać wszystkiego do kształcenia politechnicznego czy ekonomii i zarządzania. Skala przemian, które dokonują się w społeczeństwie polskim, wymaga sprawnej humanistyki, która będzie je rejestrować. Aby tak się stało, również te dziedziny wymagają finansowej troski.

– Pomówmy teraz o pozafinansowych czynnikach decydujących o jakości kształcenia. Bez wątplenia należą do nich mechanizmy weryfikacji kompetencji nauczycieli. Idea ciągłego rozwoju w tym zawodzie wydaje się być jak najbardziej słuszna, spotkać się jednak można z opiniami kadry pedagogicznej, że wprowadzony w ostatnich latach system awansu zawodowego premiuje nie tyle nauczycieli twórczych, ambitnych i „rozwojowych”, ile tych, którzy są sprawni w spełnianiu biurokratycznych wymogów.

– Widzę w tym pewien stereotyp, uproszczenie. Nie ulega wątpliwości, że w całym procesie reformowania szkolnictwa najsilniejszymi elementami były dwa ogniwa – samorządy i nauczyciele. Dzięki nim to wszystko się nie zawaliło – niczym służba zdrowia – po reformach ministra Handkego, a pamiętajmy, że pominięto wówczas reformę szkolnictwa specjalnego i zawodowego, czyli potężnego segmentu polskiego systemu kształcenia. To wszystko było eksperymentem na żywym organizmie. Nauczyciele przeszli potężny proces weryfikacji, samokształcenia i doskonalenia zawodowego – głównie za środki własne. Cały system szkolnictwa wyższego, studiów podyplomowych, rozwijał się dzięki potężnej sile ssącej ze strony edukacji, która chciała mieć coraz lepszych nauczycieli, a nauczyciele potrafili sprostać temu zadaniu. Natomiast to, że towarzyszyła temu „papieromania”, było skutkiem ubocznym. Istotnym problemem było i jest zbyt łatwe osiąganie kolejnych szczebli awansu zawodowego. Mówiliśmy i mówimy to dzisiaj – jesteśmy tylko ludźmi, i kiedy mamy do czynienia z kandydatem, który ma dosyć wątpliwe predyspozycje, żeby być nauczycielem, często odzywa się w nas myślenie: nie zrobimy mu krzywdy. Nie zastanawiamy się wtedy, że nie robiąc jemu krzywdy, awansując go – robimy krzywdę dzieciom. Takich przypadków w skali kraju nie jest może aż tak dużo, jednak zjawisko istnieje. Jeżeli jednak jako środowisko umieliśmy sprostać nowym wyzwaniom stawianym przed szkołą, to stało się tak dlatego, że jesteśmy grupą bardzo mobilną, niezwykle ambitną, potrafiącą stawiać czoła wymaganiom. Zdajemy sobie

sprawę z tego, iż nasz rozwój zawodowy powinien się przekładać na poprawę jakości kształcenia. Nie zawsze tak się dzieje; pytanie jednak dlaczego tak się dzieje nie powinno stawiane być jedynie nauczycielom. Raz jeszcze pragnę jednak podkreślić, że w swojej zdecydowanej większości środowisko wie, co to znaczy być nauczycielem.

– Jak wygląda formalna strona procesu weryfikacji?

– Zanim nauczyciel przejdzie proces weryfikacji, zdaje co najmniej trzy egzaminy: między nauczycielem stażystą a kontraktowym, drugi między kontraktowym a mianowanym, trzeci – między mianowanym a dyplomowanym. To jest procedura rozłożona na wiele lat. Zjawisko weryfikacji jest pożądane, szkoda tylko, że nadano mu tak bardzo sformalizowany charakter, że towarzyszą temu wszystkie te papiery, teczki, kosze dokumentów, które nauczyciele muszą złożyć. Takie standardy zostały jednak narzucone, a nauczyciele stawiają czoła tym wymaganiom, co dowodzi, że jest to grupa inteligentna, potrafiąca się odnaleźć w każdej sytuacji. Nauczyciel z nałożonych obowiązków wywiąże się na ogół bez zarzutu, ale to nie on układa program czy decyduje o innych kwestiach. Mówię to nie dlatego, że tak wypada, ale naprawdę zdecydowana większość nauczycieli wie, dlaczego pracuje w szkole. Szkoda, że nie umiemy zweryfikować tych, którzy w tej szkole pracować nie powinni. Towarzyszy temu błędna teza, że likwidując Kartę Nauczyciela, będziemy mieli w szkołach samych fantastycznych pedagogów, i że to Karta hamuje możliwości weryfikacji kadry i wyrzucania złych nauczycieli. Jeżeli ktoś tak mówi, to polecam mu lekturę tego dokumentu, czyli przeczytanie kilkunastu stron i wtedy niewątpliwie zmieni zdanie. Karta Nauczyciela nie chroniła, nie chroni i nie powinna chronić źle pracujących nauczycieli. Ich ocena jest natomiast zadaniem, które leży w kompetencjach dyrektora, samorządu terytorialnego i organu nadzoru. Mówię o tym w odniesieniu do tych jednostek, które w edukacji znalazły się przez przypadek lub nie potrafią należycie spełniać swoich zadań. Nie można rozciągać

krytycznej oceny na całe środowisko – bo to byłoby niesprawiedliwe.

– Realia kulturowe zmieniają się w galopującym tempie. Co zrobić, żeby zarówno uczniowie, jak i nauczyciele czuli się w szkole dobrze, żeby mogli realizować w niej swoje talenty, pasje, oczekiwania?

– Rzeczywiście, współczesna młodzież jest zupełnie inna – szybciej dojrzewa, otacza ją zupełnie inny świat – niż ta, z którą mieli do czynienia nauczyciele, gdy wchodzili na drogę zawodową, np. 15 lat temu. Ci nauczyciele wychowani byli w innych warunkach, w innej rzeczywistości. Postęp niesłychanie przyspieszył, w związku z tym nauczyciele muszą stawić mu czoła. Zabiegamy o to, żeby do zawodu wchodziło jak największe grono młodych ludzi. Źle się stało, że zmiany emerytalne zahamowały naturalny proces odchodzenia z zawodu ludzi w pewnym wieku. Wydłużono czas pracy nauczyciela do 60-65 lat. Zwracam uwagę na to, że dzisiaj rola nauczyciela jest zupełnie inna. On ma być bardziej przewodnikiem w świecie wszechogarniającej nas informacji, wskazać dziecku, skąd ją brać i jak selekcjonować, jak wykorzystywać do swoich potrzeb, jak budować wiedzę w oparciu o różne źródła. Dawniej podstawą była tylko książka i wiedza nauczyciela. Obecnie uczeń może samodzielnie weryfikować umiejętności nauczyciela – w oparciu choćby o to, co znajdzie w Internecie. Czasem dziecko już przychodząc na lekcję dysponuje wystarczającą wiedzą, aby sprawdzić nauczyciela: czy wie tyle, ile powinien. Mimo trudności, mam przekonanie, że to jeden z piękniejszych zawodów, a to, że każda epoka stawia nauczycielowi nowe wymagania, jest tylko dodatkowym argumentem dla tych, którzy do tego zawodu przychodzą.

– Media przybliżają nam często świadectwa zaniku autorytetu nauczyciela. Jeden z ostatnich ministrów edukacji, Roman Giertych, problem ten chciał rozwiązać przez przywrócenie dyscypliny w szkołach. Dyskusyjność zaproponowanych przez niego metod nie zmienia faktu, że można odczuwać pewien lęk,

czy dzisiejsza szkoła jest miejscem bezpiecznym, przyjaznym i kulturalnym – zarówno dla dzieci, jak i nauczycieli.

– Czy polska szkoła jest szkołą bezpieczną? Z pełnym przekonaniem mogę odpowiedzieć, że tak. Ale równocześnie możemy powiedzieć, że w tej szkole zachodzą zjawiska, w związku z którymi uczniowie i nauczyciele na swoje bezpieczeństwo mogą narzekać. Natomiast samo administracyjne narzucanie ograniczeń nie do końca będzie skuteczne, jeśli nie będzie mu towarzyszył komplementarny zespół działań środowiska, w którym szkoła funkcjonuje – domu rodzinnego, administracji samorządowej itp. Nauczyciel idąc do szkoły ma na pewno autorytet merytoryczny – jest przynajmniej teoretycznie mądrzejszy od tych, którzy stoją przed nim. Autorytet formalny, bo jest nauczycielem. Pytanie tylko, na ile te bardzo istotne komponenty uda się także poszerzyć o autorytet moralny, pokazać: „Oto ja jestem waszym przewodnikiem, podążajcie za mną, bo stanowią pewien wzorzec do naśladowania”. Nie wszyscy nauczyciele potrafią temu sprostać. Osobiście jestem też gorącym przeciwnikiem zawierania bliższych znajomości między uczniami a nauczycielami, które powodują, że dystans między nimi nadmiernie się skraca; kumpłowanie się, bratanie i „tykanie” nie prowadzi do absolutnie niczego pozytywnego. Jednocześnie mam świadomość, że młody człowiek wchodzący do zawodu, mający 25 lat i stający przed ludźmi 18-letnimi, naprawdę ma potężny problem do rozstrzygnięcia i to jest coś, co wymaga wsparcia i pomocy ze strony starszych pedagogów. Mechaniczne, ustawowe zapisywanie „masz szanować swojego nauczyciela”, nie jest skuteczne. Pedagog, zgodnie z Kartą Nauczyciela, podlega ochronie jak funkcjonariusz publiczny. Powinien mieć gwarancję, że jeśli ktoś zechce naruszyć jego nietykalność osobistą, cielesną, zachowa się wobec niego w sposób sprzeczny z prawem – cały aparat administracyjny państwa stanie po jego stronie. Wtedy dopiero nauczyciel będzie miał daleko idące poczucie bezpieczeństwa. Ale jednocześnie zwracam uwagę, że opinie, iż polska szkoła zagraża bezpieczeństwu dziecka czy nauczyciela –

są nieporozumieniem. Mamy także do czynienia z oczekiwaniami nauczycieli, którzy skarżą się, że uczniom wszystko wolno, a im nie. Nie podzielam tego poglądu. Jestem przeświadczony, że istotą funkcjonowania polskiej szkoły jest uczeń. Cóż nam będzie po 600 tys. nauczycieli – bez uczniów? Nauczyciel, poza zespołem autorytetów, ma w swoim ręku jeden, niezaprzeczalnie potężny instrument – możliwość oceniania drugiego człowieka. To prawo jest niesłychanie ważnym prawem. Musi z niego korzystać w sposób niezwykle rozważny, umiejętny, taktowny. Próby ograniczania praw ucznia na rzecz praw nauczycieli wynikają z tego, że niektórzy nie do końca zrozumieli, co to znaczy być nauczycielem.

– Dziękuję za rozmowę.

Ze Sławomirem Broniarzem rozmawiała Ilona Majewska

Warszawa, 10 czerwca 2009 r.

Źródło: [„Obywatel” nr 3 \(47\) 2009](#)

NOTA BIOGRAFICZNA

Sławomir Broniarz (ur. 1958) – prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego. Z wykształcenia historyk, absolwent historii na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego oraz studiów podyplomowych w zakresie marketingu i zarządzania. Był nauczycielem historii, następnie dyrektorem szkoły podstawowej. W latach 1988-1995 pełnił funkcję dyrektora Zespołu Szkół nr 3 w Skierniewicach. Od 1981 r. związany z ZNP. W 1983 r. został prezesem Zarządu Okręgowego ZNP Gminy Skierniewice, po 7 latach objął funkcję prezesa Zarządu Okręgu ZNP woj. skierniewickiego. W 1994 r. został wybrany na stanowisko wiceprezesa Zarządu Głównego. Od 1998 r. jest jego prezesem. Członek Zarządu Europejskiego Komitetu Związków Zawodowych Oświaty i Nauki (ETUCE). W Komisji Trójstronnej przewodniczy zespołowi ds. usług.